

WSPOMNIENIA SPECJALIZANTKI Z LAT 1959-1961

Urszula Kossowska-Cezak

Studia w Instytucie Geograficznym Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Warszawskiego podjęłam w roku akademickim 1956/57. Studia odbywały się wówczas w trybie jednostopniowym: pierwsze trzy lata – kurs ogólny i kolejne dwa lata – specjalizacja. Klimatologia była uważana za specjalizację trudną – obok kartografii – i dlatego wybierało ją stosunkowo niewielu, na ogół lepszych studentów. Z tego względu w niektórych latach nawet w ogóle nie była organizowana. Z naszego roku zgłosiło się 6 osób, do których dołączyły dwie koleżanki z piątego roku. Ponieważ nie uruchomiono dla nich specjalizacji, dano im możliwość studiowania klimatologii w ten sposób, że najpierw zaliczyły zajęcia z piątego roku, a później – z nami – czwartego. Było nas 7 dziewcząt i jeden „rodzynek” – nieżyjący już Włodek Paradowski.

Zajęcia w ramach specjalizacji rozpoczęliśmy praktyką terenową po trzecim roku studiów. Zostaliśmy włączeni do ekipy Zakładu Klimatologii Polskiej Akademii Nauk pod kierunkiem prof. J. Paszyńskiego, która prowadziła badania w rejonie Pińczowa; badania te później legły u podstaw znanej dziś szeroko metody kartowania topoklimatycznego. Praktyka ta pozostała w naszej pamięci, tak ze względu na ciekawą pracę z otwartymi, sympatycznymi ludźmi, jak i upalną pogodę z częstymi burzami (lipiec 1959 r.).

Na pierwszych zajęciach w październiku 1959 r. (było to bodaj seminarium) wkroczył do naszej „klimatologicznej” sali 220 szczupły mężczyzna o ascetycznym wyglądzie i zaczął mówić o klimatologii. Gdy na chwilę wyszedł z sali, najbardziej rezolutna z nas Irka Pełko spytała obecnego w sali mgra Marcina Schmidta, powszechnie zwanego Markiem: „Panie Marku, kto to tak się mądrzy?” Jego przerażona mina uświadomiła nam popełnioną gafę, a resztę wyjaśniły słowa, że jest to profesor Okołowicz. Taki był początek naszych kontaktów z kierownikiem Katedry Klimatologii.

Naszą ignorancję w tej mierze całkowicie usprawiedliwiał fakt, że dotychczas mieliśmy do czynienia tylko z dr Zofią Kaczorowską i asystentami, a profesor, mający liczne obowiązki poza Uniwersytetem, pokazywał się tu rzadko.

Naszym szczególnym szacunkiem cieszyła się pani doktor Kaczorowska. Właśnie – pani. We wszystkich rozmowach była nazywana panią i tak zostało do dziś. Nie było to bez powodu – bardzo skromna, powściągliwa, o głębokiej wiedzy i dużej kulturze, była damą w każdym calu. Jej wykłady były zawsze starannie przygotowane i wygłaszane piękną polszczyzną. W jej gabinecie na widocznym miejscu wisiał portret miło uśmiechniętego mężczyzny. Później dowiedzieliśmy się, że był to prof. Gumiński, z którym blisko współpracowała i którego była „prawą ręką”.

Spośród innych nauczycieli akademickich mocno pozostał w naszej pamięci Aniasz Rojecki, prowadzący zajęcia z metodyki opracowań klimatologicznych. Choć tylko ze stopniem magistra, przez wszystkich był tytułowany profesorem. Niewysoki, czarny, z lekka skośnooki, karaim z podwileńskich Troków, już samym wyglądem wywoływał duże wrażenie. Zajęcia zaś prowadził świetnie. Jak później dowiedzieliśmy

się, przygotowywał je specjalnie dla każdego rocznika pod kątem jego potrzeb. W semestrze letnim w ramach ćwiczeń musieliśmy przygotować referaty, które bardzo przeżywalismy. Na pierwszy ogień poszła Halinka Toczko, bardzo dobra studentka, choć trochę nieśmiała. Co dwa – trzy zdania profesor Rojecki jej przerywał, by od siebie dodać kilka kolejnych zdań. Po którymś z kolej przzerwaniu, gdy Halinka już niemal płakała ze zdenerwowania, Irka Pelko zwróciła mu na to uwagę w dość zdecydowanej formie. Profesor spokojnie wysłuchał i rzeczywiście przestał przerywać. Od tej pory, jeśli zdarzyło mu się przerywać komuś referat, szybko sam siebie mitygował słowami: „Oj, bo pani Pelko na mnie nakrzyczy.” Przerywanie to zresztą nie wynikało wcale z zarzutów do referatu – profesor po prostu referowania nie traktował w sposób formalny, a sam miał wiele do powiedzenia. Co zaś do naszej śmiałej koleżanki, to profesor nadal traktował ją tak jak inne osoby – bezpośrednio i życzliwie.

Wkrótce po rozpoczęciu roku akademickiego należało dokonać wyboru tematu pracy magisterskiej. Zaproponowano nam kilka tematów; mnie – z racji bliskiego zamieszkania – dostał się temat *Mikroklimat otoczenia Pałacu Kultury i Nauki*. Z tematem tym była związana konieczność przeprowadzenia całorocznych pomiarów metodą marszrutową wokół Pałacu oraz rejestracji temperatury i wilgotności powietrza na dwóch poziomach budynku. Aby uzyskać zgodę na instalację przyrządów, do dyrekcji PKiN wybrał się osobiście prof. W. Okołowicz wraz z mgrem Schmidtem i ze mną. Wkrótce stanęły klatki z samopisami i termometrami na tarasach 15. i 33. piętra, a ja otrzymałam psychrometr Assmanna – i zaczęła się całoroczna praca, od stycznia 1960 do stycznia 1961 r. Był to duży wysiłek, ale nie byłam w sytuacji wyjątkowej. Koleżanki z piątego roku jeździły bowiem na pomiary do Lasku Bielańskiego, dokąd miały znacznie dalej niż ja, a komunikacja miejska była nieporównanie gorsza niż obecnie.

Praca była duża i wymagająca obowiązkowości, ale też nie była pozbawiona momentów humorystycznych. Były one przede wszystkim związane z uwagami przechodniów na temat dziwnych, dokonywanych przeze mnie czynności. Trzeba tu dodać, że posługiwaliśmy się wówczas psychrometrami radzieckimi – solidnymi, ciężkimi i bardzo głośno pracującymi. Szczególnie zapamiętałam mężczyznę, któremu na pytanie, co robię, odpowiedziałam – jak zwykle – że mierzę temperaturę i wilgotność. Ten domyślnie spytał „Dla PIHM?” Odparłam: „Nie, dla siebie ...” – i już nie dokończyłam odpowiedzi, bo dosłownie ryknął śmiechem i wykrzyknął: „Kolosalna przyjemność!” Kiedy indziej, podczas wieczornej serii, gdy dokonywałam pomiaru nad trawnikiem, spod krzaka dobiegło mnie zwykle pytanie: „Co pani tu robi?” Zajęta pomiarem przy świetle latarki usłyszałam tylko groźny okrzyk towarzyszącej mi mamy „A co pani tu robi?” Przykucnięta pod krzakiem postać już pytania nie powtórzyła.

Po czwartym roku moi koledzy wyjechali na praktyki w teren, a ja zostałam na własnym terenie – w Warszawie.

Na piątym roku zabraliśmy się do opracowania, a wkrótce i pisania prac magisterskich. Przejęta Halinka Toczko wyznała kiedyś do mgra S. Mączaka, że nie wyobraża sobie, jak to się pisze pracę magisterską. Mgr Mączak dobrotliwie się uśmiechnął i spokojnie stwierdził: „Eee... głupsi byli i napisali”.

Miał rację. Pracę napisaliśmy wszyscy i wszyscy zostaliśmy magistrami, w tym większość wkrótce po zakończeniu roku akademickiego.